

Lato 1944

15 sierpnia 2022

Czytam wszystko, co wpadnie mi w ręce. Żeby wyrobić sobie zdanie czytam lewicową i prawicową prasę. W tej drugiej interesuje mnie nowa polityka historyczna pisana przez naukowców z IPN-u i twórczo rozwijana przez polityków.

Ponieważ należę do pokolenia, które uczestniczyło w wielu zdarzeniach, z naszej najnowszej historii na jej najmniejszym podwórku, mam nieodpartą chęć polemizować z jedynie słusznymi tezami, jakie kiedyś lansowała PRL-owska propaganda, a dziś w jej ślady weszli nowi aktywiści. Obawiam się, że przy bierności ludzi, którzy pamiętają i potrafią obiektywnie ocenić, co się z nimi, bądź obok nich wydarzyło w ostatnich latach, niebawem mojego wnuczka Kacperka będą uczyć w szkole, że nasze miasto nie wyzwoliła Armia Czerwona 8 sierpnia 1944 roku, tylko „żołnierze wyklęci” dowodzeni przez Młota, Sokolika, Huzara i Marynarza. Dlatego, spełniając swój obowiązek wobec wnuka, piszę ten artykuł w rocznicę wyzwolenia Sokołowa z hitlerowskiej okupacji, mając w pamięci słowa Wielkiego Polaka o prawdzie, która nas wyzwoli. Przywołuję w nim fakty historyczne z książki Jana Gozdawy-Gołębiowskiego Obszar Warszawski Armii Krajowej i wspomnienia osobiste, jakie zapamiętałem z dzieciństwa. Na początek kilka faktów historycznych.

Zacznijmy od ustaleń Gozdawy-Gołębiowskiego – historyka i byłego żołnierza Armii Krajowej. Píše on co następuje: w nocy z 4 na 5 sierpnia 1944 roku żołnierz AK Stefan Kazik z Frankopola przeprowadził dwóch delegatów majora J. Sasina, dowódcy obwodu Armii Krajowej „Proso” Sokołów Podlaski. Delegatów – podporucznika Piotra Wodzińskiego ps. Wicher i docenta Kazimierza Roszkowskiego ps. Judym, przyjął w Tonkielach radziecki generał Władymirow. Generał odrzucił postulat dalszej walki batalionu AK o wyzwolenie Sokołowa Podlaskiego u boku Armii Czerwonej. Zażądał, by wszystkie

polskie oddziały zebrały się w Bażanciarni w Repkach, osobno oficerowie i szeregowcy i tam czekali na przyjście jego żołnierzy.

Druga grupa z sędzią Krysiakiem dotarła do Grochowa, gdzie nawiązała kontakt z oddziałem podporucznika Mariana Solnickiego ps. Dzik. Pluton ppor. Solnickiego, idąc przez Patrykozy oraz wsie Czajki i Ginia natknął się na wojska węgierskie, które bez przeszkód przepuściły Polaków przez linię frontu. Tu spotkali się z oficerami radzieckimi. Podczas żołnierskiego przyjęcia radzieccy oficerowie radzili, by żołnierze AK nie przyłączali się do Armii Czerwonej, bo zostaną rozbrojeni i wywiezieni w głąb Rosji. Podporucznik Dzik natychmiast przekazał te informacje sędziemu Franciszkowi Krysiakowi, który był Delegatem Rządu na powiat sokołowski. Pod koniec lipca 1944 roku w Sokołowie powstały konspiracyjne władze polskie, z komendantem miasta profesorem Nikodemem Księżopolskim ps. Kiejstut, podporucznikiem rezerwy Henrykiem Giergielewiczem ps. Łącki, Edwardem Kupskim ps. Andrzej, Janiną Księżopolską ps. Nina, dr. Antonim Perłowskim ps. Korybut. Komendant miasta miał do dyspozycji radiostację ulokowaną w domu przy ulicy Kościuszki 12, za pomocą której otrzymywał dyspozycje z komendy podokręgu wschodniego i informacje z Londynu. Rozbudowana i dyspozycyjna sieć łączniczek, zapewniała sprawne przekazywanie rozkazów i informacji do miejsca postoju majora J. Sasina. Na naradzie oficerskiej 6 sierpnia 1944 roku w majątku Grodzisk, major Sasin z uwagi na jednoznaczne stanowisko władz radzieckich zmierzające do rozbrojenia i internowania żołnierzy AK, wg wzorów zastosowanych w Wilnie, rozkazał rozwiązać wszystkie oddziały w obwodzie, broń ukryć a łączność utrzymać na istniejącej sieci.

Z chwilą wkroczenia do Sokołowa Armii Czerwonej major Sasin ze swoim sztabem ujawnił się przed władzami radzieckim i ślad po nich zaginął.

Tyle faktów historycznych. Teraz pora na wspomnienia z

dzieciństwa spędzonego w domach i na podwórkach ulic Siedleckiej, Repkowskiej i Długiej.

Od dzieciństwa, w naszym domu obok oleodruku Kossaka przedstawiającego Cud nad Wisłą z ks. Skorupką wśród szarżujących na bagnety polskich legionistów wisiało zdjęcie naszego dziadka ze strony matki Pawła Jakubiaka. Reprodukacja popularnego obrazu uznanego batalisty była z nami do czasu wejścia do Sokołowa wyzwolicieli, czyli do 8 sierpnia 1944 roku. Nie wypadało wojennemu komendantowi miasta, który tymczasowo zajął największy pokój po zlikwidowanym sklepie, z wygodnym wyjściem na ulicę Siedlecką bądź Repkowską przypominać, jakie baty dostali pod Warszawą w 1920 roku, w niespełnionym marszu ku Europie. Za to portret dziadka Pawła, na tle gwiazdzistej flagi potężnego alianta, miał teraz honorowe miejsce obok portretu Stalina. Mnie jednak bardziej interesował obraz przedstawiający bitwę warszawską, niż zdjęcie dziadka i jego kolegów, którzy za chlebem wyjechali do Ameryki w latach dwudziestych. Przez kalkę odrysowałem fragment tego obrazu, by pochwalić się przed kolegami rysunkami żołnierzy i ich broni. Nie rozumiałem powodów, dla których obraz wiszący przez całą okupację, teraz musiał być schowany. Szukałem go wszędzie, a znałem niemal wszystkie przemyślane skrytki w starym domu. W końcu obraz odnalazłem na strychu, w wielkim wiklinowym koszu pod stertą pierzyn i paczek papierosów przechowywanych tu po likwidacji sklepu kolonialno-spożywczego moich rodziców. W tym koszu, kiedyś niespodziewanie zobaczyłem śpiącą pod pierzyną Żydówkę – prawdopodobnie córkę dr. Lewina, który mnie leczył z częstych przeziębień. Powiadomiłem matkę. Nie uwierzyła. Kiedy z pomocą babci i siostry schowano w innym miejscu ukrywającą się sąsiadkę, matka zaprowadziła mnie na strych, by przekonać, że nikogo tam nie ma, że musiało mi się przewidzieć. Kosz stał na swoim miejscu załadowany po brzegi poduszkami i pierzynami. Byłem małym sześciolatkiem o bujnej wyobraźni i jak na dziecko czasów okupacyjnych miałem swoje doświadczenie z ciągłych rewizji, publicznej egzekucji, pod tzw. wzgórkami

przy ul. Repkowskiej, obserwowanej z okienka szczytowej ściany naszego strychu, likwidacji getta, którego ogrodzenie od ulicy Olszewskiego znajdowało się 50 m od sieni domu, od strony ulicy Siedleckiej 1. Dlatego mimo zakazu Niemców, sień i wejście na strych było w nocy otwarte. Podobne praktyki stosowali i inni mieszkańcy domów, komórek i stodoł zlokalizowanych przy ulicach sąsiadujących z ogrodzoną dzielnicą żydowską. Czym to groziło, zapewne wie prof. Gross, ale o tym nie pisze, bo Żydzi nie kupią takiej książki. Geszeft można zrobić na Żłotyach żniwach. Naprzeciw rozległego drewnianego domu, usytuowanego na rogu ulicy Siedleckiej i Repkowskiej był budynek sokołowskiego magistratu. Na parterze garaże straży pożarnej a na piętrze kino. Wejście do kina było od ulicy Długiej. Niemcy uciekający pod naporem Armii Czerwonej wysadzili budynek magistratu, ale parter budynku ocalał. I tam, w dawnej poczekalni i kasie kina „Ostland”, gdzie jeszcze niedawno oglądaliśmy niemieckie kroniki wojenne, teraz pokotem spali radzieccy żołnierze. W dzień i w nocy regulowali ruchem transportów wojskowych ciągnących na Warszawę, w chwilach wolnych od służby palili ogniska, grali na harmonii i śpiewali Katiuszę. Często dawali konserwy, a my zjadając się „swinuju tuszonku” z czarnym żołnierskim chlebem, nosiliśmy im z pobliskiej studni wodę. Czasami dali do obejrzenia pepeszkę lub bagnę, a nawet pozwolili pograć na harmonii. Ulubieńcem wyzwolicieli stałem się, kiedy przyniosłem do ich kwatery kilka paczek Popularnych i Junaków-papierosów z odkrytej skrytki na strychu. Popularne były paczkowane w dużych pudełkach po 100 szt. I można nimi obdzielić cały oddział reguliowszczyków.

Były jednak trudniejsze do wyniesienia pod czujnym okiem babci Emilowej. Gniew babci, gdy odkryła moje nieczne postępowanie, złagodziły puszki konserw, które dostałem od żołnierzy. Kocioł kapusty z zawartością wojskowej konserwy sprawił, że i tym razem udało mi się uniknąć różgi, którą babcia Emilowa władała po mistrzowsku. Za to moim postępowaniem doprowadziłem do wymiany towarowej, gdy okazało się, że papierosy mają dla

wojaków większą wartość jak amerykańskie konserwy, dostarczane radzieckim sojusznikom, by skutecznie bili Niemców. Kilka rodzin zamieszkałych w rozległym domu na rogu Siedleckiej i Repkowskiej, miało dzięki tej wymianie handlowej dobre pożywienie. W mieście panował niebywały entuzjazm. Do rodzin Laszuków i Gumaników, ładów powrócili od Andersa ich ojcowie i synowie. Trwała mozolna praca przy odgruzowaniu i naprawie domów, mostów i ulic. Z dalekiego Elbląga przywieziono prądnice i uruchomiono elektrownię przy ulicy Kosowskiej, naprzeciw starego drewnianego kościołka pw. Św. Rocha. Wieki popyt nastał na materiały budowlane – cegły, stalowe belki. Pan Głazek płacił za jedną oczyszczoną z tynku cegłę 50 groszy. W tamtym czasie był to dobry interes. Z kolegami z mojej drużyny wzięliśmy się za robotę. Wkrótce uzbieraliśmy 97 złotych. Piłka, o której marzyliśmy kosztowała w księgarni pani Sudarowej – 95 zł. Była to skórzana futbolówka z jajowatą dętką i długim wentylem. Po napompowaniu trzeba było ją zasnurować tak, by nie zniekształcić. Zakup uczciliśmy lemoniadą w sklepiu pani Nowakowej przy ulicy Długiej.

Odtąd moja drużyna z Repkowskiej i Siedleckiej nie miała sobie równych wśród piłkarzy grających szmaciakami na sąsiednich ulicach i podwórkach. Mając taką piłkę, trzeba było zadbać o odpowiednie piłkarskie nazwisko. Stefan Kupisz był Cieślikiem, Janek Patejczuk to obrońca Jan Duda, ja długo nosiłem nazwisko pomocnika Legii – Parpana. Tylko nie wiem, czemu Romek Bałkowiec miał ksywkę Beka, a Waldek Łada – Hilon.

Autorstwo: Wacław Kruszewski

Źródło: Trybuna.info